

Od zawsze uwielbiałem „Vogue’a”. Doskonale pamiętam ten moment, kiedy – jeszcze jako nastolatek – dostałem swój pierwszy egzemplarz tego magazynu pod choinkę. To był najwspanialszy prezent na świecie. Ślęczałem nad nim godzinami, strona po stronie studiując najnowsze fasony, fryzury i makijaże.

Przez blisko sto lat brytyjski „Vogue” był swoistym zwierciadłem mody – ukazywał najnowsze trendy, prezentując stroje autorstwa czołowych światowych projektantów z Paryża, Londynu, Nowego Jorku, Mediolanu, Rzymu, Tokio, Antwerpii, Madrytu i wielu, wielu innych. Grupa utalentowanych redaktorów, fotografów, wizażystów, makijażystów, fryzjerów i ich asystentów dwoiła się i troiła, aby za pomocą aranżacji, narracji i obrazu zaskoczyć i zachwycić czytelnika, zabierając go w podróż w oszałamiającą krainę Mody przez duże M.

W tej pierwszej kolorowance „Vogue’a” najwłaściwsze wydawało mi się skupienie na latach pięćdziesiątych XX w. – momencie przełomowym dla świata mody, który właśnie wtedy odkrył kolor i porzucił królującą dotąd niepodzielnie czerń i biel na rzecz feerii barw. Co oczywiście „Vogue” skrupulatnie udokumentował. To był czas wielkich zmian: lansowania zupełnie nowej sylwetki – od obszernych długich spódnic w stylu krynoliny po długie dopasowane żakiety, a także wprowadzenia nowych materiałów – nylonowej tafty i wiskozowego dupioni. Tryumfy zaczynały wówczas święcić podróże dla przyjemności („dla kaprysu wybieramy się na drugi koniec świata”, jak napisano w majowym numerze „Vogue’a” z 1955 r.), zatem sesje zdjęciowe przeniosły się w dalekie i egzotyczne plenery.

Lata pięćdziesiąte zgodnie okrzyknięto erą elegancji i nowości – te dwa określenia raz po raz pojawiały się w podpisach do ówczesnych zdjęć mody. Każdemu szkicowi w tej książce towarzyszy urywek z tekstu magazynu, w którym sprecyzowano, z jakich to niezwykle istotnych powodów każda czytelniczka koniecznie musi mieć w swojej garderobie „dopasowany, lecz wygodny” kostium czy wprost cudowną sukienkę „idealną na garden party”. Wszystkie te komentarze – z perspektywy czasu momentami dość humorystyczne – w pełni odzwierciedlają ducha tej epoki.

Mojego pierwszego dnia w Saint Martin’s School of Art w Londynie, gdzie studiowałem projektowanie mody (od dzieciństwa chciałem zostać projektantem), rozdano nam stare numery „Vogue’a” z poleceniem skopiowania wybranych modeli. Dzięki temu wykładowca mógł ocenić nasze talenty plastyczne, z kolei dla nas była to pierwsza przymiarka do sztuki rysowania tkanin – próby odwzorowania wszystkich fałd i załamań oraz sposobu, w jaki się układają na ciele. Mam te szkice do dziś.

Uwielbiałem odrysowywać fasony z „Vogue’a”, więc gdy poproszono mnie o stworzenie tej kolorowanki, ogarnął mnie szczery entuzjazm. I znów spędzałem całe dni na pieczołowitym odwzorowywaniu modelek wystrojonych w najwspanialsze kreacje.

Dzięki tej książce wy też macie okazję zostać projektantami i stworzyć swoją wersję czołowych fasonów tamtych lat. Możecie kierować się opisami umieszczonymi obok szkiców, ale możecie też wprowadzić własną paletę wzorów i kolorów – tak zwariowaną, jak tylko wam się zamarzy. Niech gładki kostium ożywią kolorowe kwiaty lub roślinne ornamenty, a prostą ołówkową spódnicę rozweselą oryginalne pasy, kratka lub inne dowolne kształty. A może by tak przenieść modelki w bardziej współczesną scenierię – między nowoczesne wieżowce, do przedziału Shinkansena czy na shanghajską wieżę telewizyjną?

Tę kolorowankę zrobiłem dla siebie samego – z szalonych, opętanych modową obsesją nastoletnich lat. Wówczas wiele bym dał, by dostać taki prezent i na pewno byłby to najlepszy prezent na świecie. Może nawet lepszy niż mój pierwszy egzemplarz „Vogue’a”?

A dziś? Cóż, dziś od rana świerzbią mnie ręce. Gdybym tylko pamiętał, gdzie ja położyłem kredki!

*Iain R. Webb*